

W Madrycie pełno jest chłopców imieniem Paco, co jest zdrobnieniem od Francisco, i nawet istnieje madrycki dowcip o pewnym ojcu, który przyjechał do stolicy i w rubryce „Wiadomości osobiste” dziennika „E Liberal” zamieścił następujące ogłoszenie: „PACO, SPOTKAJ SIĘ ZE MNĄ w HOTELU MONTANA, WTOREK POŁUDNIE, WSZYSTKO PRZEBACZONE. PAPA” — i o tym, jak trzeba było wezwać oddział Guardia Civil, żeby rozpedzić ośmiuset młodych ludzi, którzy przyszli w odpowiedzi na to ogłoszenie. Jednakże ten Paco, co podawał do stołu w „Pension Luarca”, nie miał ojca, który by mu coś przebaczył, ani nic takiego, co ojciec mógłby przebaczyć. Miał dwie starsze siostry, które były pokojówkami w „Luarca” i dostały tam pracę dzięki temu, że pochodziły z tej samej wioski, co jedna z dawnych pokojówek w owym pensjonacie, która okazała się pracowita i uczciwa, i przez to wyrobiła swojej wsi i jej wytworom dobre imię. Te siostry opłaciły mu drogę autobusem do Madrytu i uzyskały dla niego posadę pomocnika kelnera. Pochodził z wioski z tej części Estremadury, gdzie warunki są niewiarygodnie prymitywne, żywności mało, a wygody nieznane, i pracował ciężko, odkąd mógł sięgnąć pamięcią.

Był dobrze zbudowany, miał bardzo czarne, lekko kędzierzawe włosy, zdrowe zęby, cerę, której mu zazdrościły siostry, i ochoczy, beztroski uśmiech. Ruszał się żwawo, swoje obowiązki wypełniał dobrze i kochał siostry, które wydawały mu się piękne i eleganckie; kochał też Madryt, będący dla niego wciąż jeszcze niebywałym miejscem, i kochał swoją pracę, która wykonywana w jaskrawym świetle, wśród czystych obrusów, w wieczorowym ubraniu, z obfitym pożywieniem w kuchni — zdawała się romantycznie piękna.

W „Luarca” mieszkano od ośmiu do dwunastu różnych osób, które stołowały się w salce jadalnej, ale dla Paco, najmłodszego z trzech usługujących kelnerów, istnieli naprawdę tylko toreadorzy.

W tym pensjonacie mieszkali drugorzędni matadorzy, bo punkt na Calle San Jeronimo był dobry; jedzenie doskonałe, a cena pokoju i wyżywienia niska. Dla toreadora jest rzeczą konieczną stwarzać pozory jeżeli nie dobrobytu, to przynajmniej zamożności, jako że decorum i godność stawiane są wyżej niż odwaga wśród zalet najbardziej cenionych w Hiszpanii; toteż toreadorzy siedzieli w „Luarca”, dopóki nie rozeszły im się ostatnie pesety. Nie było wypadku, żeby któryś przeniósł się do lepszego czy droższego hotelu; drugorzędni nigdy nie stawiali się pierwszorzędnymi, natomiast z „Luarca” można było szybko stoczyć się w dół, ponieważ mógł tam mieszkać każdy, kto coś w ogóle zarabiał, a goście nigdy nie przedstawiano rachunku, jeżeli o to nie prosił, chyba że kierowniczką pensjonatu widziała, że sprawa jest beznadziejna.

W owym czasie mieszkano w „Luarca” trzech pełnych matadorów oraz dwaj dobrzy pikadorzy i jeden doskonały banderillero. „Luarca” była luksusem dla pikadorów i banderillerów; którzy mając rodziny w Sewilli, musieli znaleźć sobie w Madrycie mieszkanie na sezon wiosenny; jednakże byli oni dobrze płatni i zatrudnieni na stałe przez matadorów mających kontrakty na cały nadchodzący sezon, i każdy z owych trzech podwładnych miał prawdopodobnie zarobić o wiele więcej niż którykolwiek z trzech matadorów. Z tych trzech matadorów jeden był chory i starał się to ukryć, drugi przeżył już swój krótki okres popularności, kiedy był rewelacją, a trzeci był tchórzem.

Ten tchórz, zanim na początku swojego pierwszego sezonu w charakterze pełnego matadora został szczególnie okrutnie raniony rogiem w dół brzucha, był niegdyś wyjątkowo odważny i niezwykle zręczny i nadal zachował wiele efektownych manieryzmów z okresu swoich sukcesów. Był ogromnie jowialny i śmiał się ustawicznie, z powodem i bez powodu. W czasach kiedy się cieszył powodzeniem, ogromnie lubił robić innym kawały, ale teraz już to zarzucił. Wymagały pewności siebie, której nie czuł. Ten matador miał inteligentną, otwartą twarz i nosił się z dużym fasonem.

Matador, który był chory, starał się tego nigdy nie pokazywać i bardzo uważał, żeby zawsze zjeść po trochu każdej potrawy podawanej do stołu. Miał duży zapas chusteczek, które sam prał u siebie w pokoju, a ostatnio zaczął sprzedawać swoje toreadorskie stroje. Sprzedał tanio jeden przed Bożym Narodzeniem, a drugi w pierwszym tygodniu kwietnia. Były to stroje bardzo kosztowne, zawsze utrzymywane w dobrym stanie, i został mu jeszcze jeden. Nim zachorował, był bardzo obiecującym, a nawet sensacyjnym toreadorem, i chociaż sam czytać nie umiał, przechowywał wycinki z gazet, w których pisano, że podczas swojego debiutu w Madrycie był lepszy od Belmonta. Jadał samotnie przy małym stoliku i rzadko podnosił wzrok.

Matador, którego niegdyś uważano za rewelację, był bardzo niski, smagły i ogromnie godny. On także jadał samotnie przy osobnym stoliku, uśmiechał się bardzo rzadko, a nie śmiał się nigdy. Pochodził z Valladolid, gdzie ludzie są ogromnie poważni, i był zdolnym matadorem, ale jego styl wyszedł z mody, zanim on sam zdążył się stać ulubieńcem publiczności dzięki swoim zaletom, którymi były odwaga i spokojna zręczność, i jego nazwisko na afiszu nie przyciągało już nikogo na walkę. Rewelacją w nim było to, iż był tak niski, że ledwie sięgał głową ponad kłęb byka, ale istnieli też inni niscy toreadorzy, on zaś nigdy nie zdołał pozyskać sobie łask publiczności.

Z pikadorów jeden był chudy, siwowłosy, o jastrzębiej twarzy i drobnej budowie, ale ręce i nogi miał jak z żelaza i zawsze nosił pasterskie buty pod długimi spodniami, pił za wiele co wieczór i zerkał miłośnie na każdą kobietę w pensjonacie. Drugi był ogromny, ciemnowłosy, śniady, przystojny, z włosami czarnymi jak Indianin i olbrzymimi dłońmi. Obaj byli świetnymi pikadorami, chociaż pierwszy podobno stracił wiele ze swej umiejętności przez picie i rozpustę, a o drugim mówiono, że jest zanadto samowolny i kłótniwy, aby pozostać z którymkolwiek matadorem dłużej niż jeden sezon.

Banderillero był w średnim wieku, szpakowaty, zwinny jak kot mimo swoich lat, i kiedy siedział przy stole, wyglądał na dosyć zamożnego biznesmena. Nogi miał dobre jeszcze na ten sezon, a gdyby mu się popsuły, miał dość inteligencji i doświadczenia, żeby zapewnić sobie stałe zajęcie jeszcze na długi czas. Różnica polegałaby wtedy na tym, że utraciwszy szybkość w nogach, zawsze bałby się tam, gdzie teraz był pewny siebie i spokojny, zarówno na arenie, jak poza nią.

Tego wieczora wszyscy już opuścili jadalnię oprócz pikadora o jastrzębiej twarzy, który pił za dużo, licytatora ze znamionami na policzkach, który sprzedawał zegarki na hiszpańskich targach i festiwalach i także pił za dużo, oraz dwóch księży z Galicji, którzy siedzieli przy stoliku w kącie i pili, jeżeli nie za dużo, to w każdym razie wystarczająco. Naówczas w „Luarca” wliczano wino do ceny pokoju z utrzymaniem i kelnerzy właśnie przynieśli świeże butelki valdepenas do stolika licytatora, potem pikadora, wreszcie obu księży.

Trzej kelnerzy stali w głębi jadalni. W pensjonacie istniał przepis, że wszyscy oni winni pozostać na służbie dopóki nie wyjdą goście, których obsługiwali, ale kelner, który podawał do stołu księży, umówił się na zebranie anarcho-syndykalistów, i Paco zgodził się przejąć od niego ten stolik.

Na piętrze matador, który był chory, leżał samotnie na łóżku, z twarzą ukrytą w poduszce. Matador, który już przestał być rewelacją, siedział i wyglądał przez okno, szykując się do wyjścia na kawę. Matador, który był tchórzem, miał u siebie w pokoju starszą siostrę Paco i usiłował nakłonić ją do zrobienia czegoś, czego mu ze śmiechem odmawiała. [...]

Na dole, w jadalni, najwyższy z kelnerów, który już był spóźniony na zebranie, powiedział:

— Patrzcie, jak te czarne świny piją.

— Nie można tak mówić — odparł drugi kelner. — To przyzwoici klienci. Nie piją za dużo.

— Ja uważam, że z powodzeniem można tak mówić — powiedział wysoki. — To są dwa przekleństwa Hiszpanii: byki i księża.

— Na pewno nie poszczególne byki i nie poszczególni księża — odrzekł drugi kelner.

[...]

— Słuchaj — rzekł drugi kelner, który był mężczyzną po pięćdziesiątce. — Ja pracowałem przez całe życie. I muszę pracować jeszcze przez resztę życia. Nie narzekam na pracę. Praca to rzecz normalna.

— Tak, ale brak pracy zabija.

— Ja zawsze pracowałem — powiedział starszy. — Idź już na to zebranie. Nie ma potrzeby tu czekać.

— Jesteś dobrym kolegą — rzekł wysoki kelner. — Ale zupełnie brakuje ci ideologii.

— *Mejor si me falta eso que el otro* — odparł starszy kelner (co znaczyło, lepiej, aby brakowało tego niż pracy). — Idź na ten mityng.

Paco nie mówił nic. Nie rozumiał się jeszcze na polityce, ale zawsze czuł dreszczyk, kiedy słyszał, jak wysoki kelner mówi o konieczności zabijania księży i Guardia Civil. Wysoki kelner ucieleśniał dla niego rewolucję, a rewolucja była romantyczna. On sam bardzo by chciał być dobrym katolikiem, rewolucjonistą, mieć stałą posadę, taką jak ta, i jednocześnie być toreadorem.

— Idź na zebranie, Ignacio — powiedział. — Biorę na siebie twoją robotę.

— My obaj — dodał starszy kelner.

— Nie ma jej dosyć nawet na jednego — rzekł Paco. — Idź na zebranie.

— *Pues me voy*¹ — powiedział wysoki kelner. — I dziękuję wam.

¹ A więc idę. (hiszp.)

Tymczasem [...] w pokoju matador usiadł na łóżku. Na twarzy miał wciąż ów grymas, który na arenie przemieniał się w stały uśmiech, budzący lęk wśród tych, co siedzieli w pierwszych rzędach i wiedzieli, na co patrzą. [...]

Pamiętał czasy, kiedy mu szło dobrze, a było to ledwie przed trzema laty. Pamiętał grubo haftowaną złotem kurtkę toreadorską, ciężącą mu na ramionach tamtego gorącego majowego popołudnia, kiedy jego głos był jeszcze taki sam na arenie jak w kawiarni; i to, jak mierzył po klindze z ostrzem wygiętym na końcu w to miejsce u góry łopatek, gdzie był pokryty pyłem, porośnięty krótką szczecina, czarny kłęb mięśni nad rozłożystymi, bodącymi drewno rogami o wyszczerbionych szpicach, które zniżały się, kiedy zadawał śmiertelne pchnięcie, i to, jak szpada weszła tak łatwo jak w kopiec jędrnego masła, i jego dłoń wypychała głowicę rękojeści, lewa ręka był opuszczona nisko, lewe ramię podane do przodu, ciężar ciała wsparty na lewej nodze, a potem nagle ciężar ciała już nie był oparty na nodze, ale na dole brzucha, i kiedy byk poderwał łeb, róg pograżył się cały w ciele matadora, który okręcił się na rogu dwa razy, zanim go ściągnięto. Teraz więc, kiedy zabijał, co zdarzało się rzadko, nie mógł patrzeć na rogi.[...]

Na dole, w jadalni, pikador siedział i przyglądał się księżom. Jeżeli w pokoju były kobiety, patrzył na nie. Jeżeli kobiet nie było, obserwował z satysfakcją jakiegoś cudzoziemca, *un ingles*, ale teraz, z braku kobiet i cudzoziemców, przypatrywał się z zadowoleniem i zuchwalstwem obu księżom. Kiedy tak patrzył, licytator ze znamionami na twarzy wstał i złożony serwetkę wyszedł zostawiając połowę ostatniej butelki wina, którą zamówił. Gdyby miał już uregulowany rachunek w „Luarca”, byłby ją dokończył.

Dwaj księża nie patrzyli na pikadora. Jeden z nich mówił:

— Już dziesięć dni tu czekam, żeby się z nim zobaczyć, i po całych dniach przesiaduję w przedpokoju, a on nie chce mnie przyjąć.

— Co robić?

— Nic. Co można zrobić? Nie sposób działać na przekór władzy.

— Ja tu siedzę dwa tygodnie i nic. Czekam, a oni nie chcą się ze mną widzieć.

[...]

— Gdyby po prostu zobaczyli się z człowiekiem i odmówili.

— Nie. Musi się być złamanym i wyczerpanym przez czekanie.

— Ano, zobaczymy. Mogę czekać równie dobrze jak każdy inny.

W tej chwili pikador podniósł się, podszedł do stolika księży i stanął przed nimi, siwowłosy, o jastrzębiej twarzy, wpatrując się w nich z uśmiechem.

— *Torero* — powiedział jeden ksiądz do drugiego.

— I to dobry — odrzekł pikador i wyszedł z jadalni, w swej szarej kurtce, wcięty w pasie, na krzywych nogach, w opiętych spodniach wypuszczonych na buty pasterskie z wysokimi obcasami, które stuknęły po podłodze, kiedy szedł zamaszystym, równym krokiem uśmiechając się do siebie. Żył w małym, ciasnym zawodowym świecie osobistej sprawności, conocnych alkoholowych tryumfów i zuchwalstwa. Teraz zapalił cygaro i nasadziwszy w hallu kapelusz na bakier, wyszedł do kawiarni.

Księża wyszli zaraz po pikadorze, uprzytomniwszy sobie nagle, że są ostatnimi gośćmi, i nie został tam nikt oprócz Paco i owego kelnera w średnim wieku. Sprzątnęli ze stołów i odnieśli butelki do kuchni.

W kuchni siedział chłopak, który zmywał naczynia. Był o trzy lata starszy od Paco, bardzo cyniczny i zajadły.

— Masz — powiedział starszy kelner i nalawszy *valdepenas* do szklanki podał mu ją.

— Czemu nie? — Chłopiec wziął szklankę.

— *Tu*, Paco — zapytał kelner.

— Dziękuję — odrzekł Paco. Wszyscy trzej wypili.

— Będę już szedł — powiedział kelner.

— Dobranoc — odrzekli.

Wyszedł i zostali sami. Paco wziął serwetkę, której używał jeden z księży, stanął wyprostowany, wsparty mocno na piętach, opuścił serwetkę i podążając głową za ruchem rąk przerzucił je za siebie wolnym, powłóczyстым zwrotem *veronica*². Obrócił się i wysunawszy nieco prawą stopę wykonał drugi zwrot zdobywając nieco terenu na urojonym byku, po czym zrobił trzeci

² Veronica — ruch toreadora, kiedy obraca się w miejscu z rozpostartą kapą.

zwrot, powolny, doskonale wyliczony i gładki, wreszcie zebrał serwetkę przy pasie i uchylił się biodrami przed bykiem w *media-veronica*.

Chłopiec zmywający naczynia, który na imię miał Enrique, obserwował go krytycznie i drwiąco.

— Jaki ten byk? — zapytał.

— Bardzo odważny — odrzekł Paco. — Patrz.

Staął, smukły i wyprostowany, i zrobił jeszcze cztery bezbłędne zwroty, gładkie, wytworne i wdzięczne.

— A byk? — zapytał Enrique stojąc przy zlewie w fartuchu, ze szklanką wina w ręce.

— Ma jeszcze masę gazu — odparł Paco.

— Nudzisz mnie — rzekł Enrique.

— Czemu?

— Patrz.

Enrique zdjął fartuch i przyzywając urojonego byka wykonał cztery doskonałe, niespieszne, cygańskie *veronica*, po czym zakończył *rebolera*, przy której fartuch zamiótł sztywnym łukiem po nosie byka, kiedy chłopak od niego odchodził.

— No, tylko popatrz — rzekł. — A ja zmywam naczynia.

— Dlaczego?

— Strach — odparł Enrique. — *Miedo*. Ten sam strach, który byś czuł na arenie przed bykiem.

— Nie — powiedział Paco. - Ja bym się nie bał.

— *Leche!* — rzekł Enrique. — Każdy się boi. Ale *torero* umie opanować strach, żeby dać sobie radę z bykiem. Brałem raz udział w amatorskiej walce i tak się bałem, że nie mogłem wytrzymać i uciekłem. Wszyscy uważali, że to było bardzo śmieszne. Ty też byś się tak bał. Gdyby nie strach, każdy czyścibut w Hiszpanii byłby toreadorem. Ty, chłopak ze wsi, bałbyś się jeszcze gorzej ode mnie.

— Nie — powiedział Paco.

Za wiele razy robił to w wyobraźni. Za wiele razy widywał rogi, wilgotny pysk byka, drgające ucho, a potem łeb, który się opuszcza, i szarżę z łomotem kopyt, i rozgrzanego byka, co przelatuje obok, gdy on zamiata kapą — po to, by znów powrócić do szarży — i siebie powiewającego kapą znowu i znowu, i znowu, aż w końcu okręcał byka dokoła siebie we wspaniałej *media-veronica* i odchodził rozkołysanym krokiem, z włosami byka wplątanymi w złote ozdoby kurtki po owych zwrotach z bliska; byk stał jak zahipnotyzowany, a tłumy klaskały. Nie, on by się nie bał. Inni tak. On nie. Wiedział, że by się nie bał. Nawet gdyby się kiedyś zląkł, potrafiłby to zrobić i tak. Ufał sobie.

— Nie bałbym się — powiedział.

Enrique znowu powtórzył: — *Leche*. — Potem rzekł: — A może byśmy spróbowali? — Jak?

— Słuchaj — powiedział Enrique. — Ty myślisz o byku, ale nie myślisz o rogach. Byk ma taką siłę, że rogi prują jak nóż, kłują jak bagnet, a zabijają jak maczuga. Popatrz — otworzył szufladę i wyjął dwa noże do mięsa. — Przywiążę je do nóg krzesła. Potem będę udawał byka trzymając krzesło przed głową. Noże będą rogami. Jeżeli wtedy zrobisz te swoje zwroty, to przynajmniej będą coś warte.

— Pożycz mi fartuch — rzekł Paco. — Zrobimy to w jadalni.

— Nie — powiedział Enrique, straciwszy nagle zajadłość. — Nie rób tego, Paco.

— I owszem — odrzekł Paco. — Ja się nie boję.

— Złękiesz się, jak zobaczysz te noże lecące na ciebie.

— Zobaczymy — powiedział Paco. - Daj fartuch.

W tym samym czasie — kiedy Enrique przytwierdzał do nóg krzesła dwiema brudnymi serwetkami oba noże ostre jak brzytwy, z ciężkimi ostrzami, przytrzymując je w połowie, okręcając mocno serwetki i wiążąc je w węzły — obie pokojówki, siostry Paco, były w drodze do kina, żeby obejrzeć Gretę Garbo w *Annie Christie*. Jeden z księży siedział w białiznie, czytając brewiarz, a drugi, w nocnej koszuli, odmawiając różaniec. Wszyscy toreadorzy z wyjątkiem tego chorego zjawili się jak co wieczór w „Cafe Fornos”, gdzie wysoki czarnowłosy pikador grał teraz w bilard, a niski, poważny matador siedział przy obłożonym stoliku, mając przed sobą białą kawę, a obok banderillera w średnim wieku i kilku innych poważnych pracowników.

Lubiący popić, siwy pikador siedział nad kieliszkiem koniaku cazalas, wpatrując się z przyjemnością w stolik, przy którym matador, który stracił odwagę, siedział z innym matadorem, który wyrzekł się szpady, żeby na powrót zostać banderillerem. [...]

Licytator stał na rogu ulicy rozmawiając ze znajomymi. Wysoki kelner był na zebraniu anarcho-syndykalistów i czekał na sposobność zabrania głosu. Kelner w średnim wieku siedział na tarasie „Cafe Alvarez”, popijając małe piwo. Właścicielka pensjonatu „Luarca” już spała u siebie w łóżku; leżała na wznak, z poduszką między nogami, masywna, tłusta, uczciwa, czysta, beztroska, bardzo religijna, zawsze tęskniąca i modląca się co dzień za męża, który nie żył już od dwudziestu lat. Matador, który był chory, leżał w swoim pokoju twarzą do dołu na łóżku przyciskając usta do chustki.

W opustoszałej jadalni Enrique zawiązał ostatni węzeł na serwetkach, które przytwierdzały noże do nóg krzesła, i podniósł krzesło. Nastawił przed siebie jego nogi z nożami i przytrzymał krzesła nad głową tak, że noże sterczały na wprost, po obu stronach jego głowy.

— Ciężkie — powiedział. — Słuchaj, Paco. To bardzo niebezpieczne. Daj spokój. — Był spocony.

Paco stanął naprzeciw niego z rozłożonym fartuchem, trzymając zebrane fałdy w obu rękach, z kciukami do góry, a wskazującymi palcami do dołu, z fartuchem rozpostartym tak, aby zwrócić uwagę byka.

— Szarżuj na wprost — powiedział. — Zawróć tak jak byk. Szarżuj, ile razy chcesz.

— Jak będziesz wiedział, kiedy przerwać zwrot? — spytał Enrique. — Lepiej zrobić trzy, a potem *media*.

— Dobra — odrzekł Paco. — Ale leć prosto. Hu, *torito*! Chodź, byczku!

Biegnąc ze schyloną głową Enrique natarł na niego, a Paco zamiótł fartuchem przed ostrzem noża, kiedy przelatywało tuż obok jego brzucha – i gdy go mijało, było dla niego prawdziwym rogiem, czarnym i gładkim, z białym szpicem; a kiedy Enrique przebiegłszy zawrócił, by znowu natrzeć, zatupotało obok rozgrzane cielsko byka, z bokami zlanymi krwią, potem znów zawróciło jak kot i nadbiegło, gdy on powoli kołysał kapą. Potem byk zawrócił raz jeszcze i zaszarżował, i Paco obserwując nadlatujące ostrze wysunął lewą stopę o dwa cale za daleko w przód, i nóż nie przemknął obok, ale wlaż tak łatwo jak w bukłak wina, i coś trysnęło gorąco, piekąco, wokół nagłej sztywności stali tam w środku i Enrique krzyczał: — Ay! Ay! Daj mi wyciągnąć! Wyciągnąć! – a Paco osunął się w przód na krzesło, nadal trzymając fartuch-kapę, Enrique zaś ciągnął za krzesło, a nóż obracał się w nim, w nim, w Paco.

Teraz nóż był już wyciągnięty i Paco siedział na podłodze w poszerzającej się, ciepłej kałuży.

— Przyłóż sobie serwetkę. Przytrzymaj! - krzyczał Enrique. - Przytrzymaj mocno. Ja lecę po doktora. Musisz zatrzymać krwotok.

— Powinna być gumowa nakładka — rzekł Paco. Widywał to na arenie.

— Ja biegłem prosto — powiedział Enrique płacząc. — Chciałem tylko pokazać ci, jakie to niebezpieczne.

— Nie martw się — rzekł Paco głosem, który brzmiał jakby z bardzo daleka. — Ale sprowadź doktora.

Na arenie podnosili człowieka i nieśli go biegiem do pokoju operacyjnego. Jeżeli arteria udowa opróżniła się, zanim tam dotarli, to wzywali księdza.

— Daj znać któremuś z księży — powiedział Paco przyciskając mocno serwetkę do dolnej części brzucha. Nie mógł uwierzyć, że mu się to stało.

Ale Enrique biegł już przez Carrera San Jeronimo do czynnego całą noc pogotowia, i Paco został sam, i najpierw siedział, potem skulił się, wreszcie opadł na podłogę, kiedy już było po wszystkim; czuł jak życie z niego uchodzi niby brudna woda z wanny, kiedy się wyjmie zatyczkę. Bał się i było mu słabo, i próbował odmówić akt skruchy, i pamiętał, jak się zaczyna, ale zanim zdążył powiedzieć najprędzej, jak mógł: „O Boże mój, serdecznie żałuję, że obraziłem Ciebie, który jesteś godny całej mojej miłości, i mocno postanawiam...”, poczuł, że mu za słabo, i przewrócił się twarzą na podłogę, i już bardzo szybko było po wszystkim. Przecięta arteria udowa opróżnia się prędzej, niż można sobie wyobrazić.

Kiedy doktor z pogotowia wchodził na schody w towarzystwie policjanta, który przytrzymał Enrique'a za ramię, obie siostry Paco były jeszcze w luksusowym kinie na Gran Via, gdzie mocno je rozczarował film z Gretą Garbo, który ukazywał wielką gwiazdę w nędznym, ubogim otoczeniu, podczas gdy obie przywykły widywać ją otoczoną wielkim przepychem i zbytkiem. Film

bardzo się nie podobał publiczności, która protestowała gwizdami i tupaniem. Wszyscy inni mieszkańcy pensjonatu robili prawie to samo, co w chwili kiedy zdarzył się wypadek. [...]

Młody Paco nigdy się nie dowiedział o tym wszystkim ani o tym, co ci ludzie mieli robić nazajutrz i następnych dni. Nie miał pojęcia, jak naprawdę żyli ani jak skończyli. Nie uświadamiał sobie nawet, że kiedyś skończyli. Umarł, jak mówią Hiszpanie, pełen złudzeń. W swym życiu nie zdążył utracić żadnego z nich ani nawet na końcu odmówić aktu skruchy.

Nie zdążył też rozczarować się filmem Greta Garbo, który przez tydzień rozczarowywał cały Madryt.

Przełożył Bronisław Zieliński